

A. LANGE.

## Z opowiadań więźnia.

—:o:—

W r. 1907 — w czasie rewolucji — byłem skazany na więzienie w twierdzy Brześć Litewskiego. Siedział tam wówczas wraz ze mną Rosjanin Andrejew, który pół życia przepędził po rozmaitych turmach obszernego Imperjum. Opowiadał mi on historję, której był świadkiem, gdy siedział w więzieniu w Kałudze. Zarówno typy ludzkie, jak i warunki ówczesne, w opowiadaniu tem wystawione, należą dziś do przeszłości, ale zgroza i okropność życia przetrwała, a zapewne nawet dzisiejsza tyranja bolszewicka jest stokroć krwawsza i bardziej beznadziejna, niż dawniejsza cesarska, gdyż ta jest pozbawiona absolutnie wszelkiego pierwiastka dobroduszości.

W nędznej celi więziennej miasta Kaługi, od wielu miesięcy gnł poprostu, gdyż inaczej tego określić niepodobna, stary inużyk Fiedor, gospodarz dość zamożny, który został aresztowany pod zarzutem, że ukrywał u siebie broń i literaturę nielegalną. Skąd się ta gromada browningów, książek i pism rewolucyjnych u niego wzięła, nie mógł wytłumaczyć i nic nie rozumiał. Przeczył wszystkiemu, o co go pytano i zaklinał się, że „nigdy, nigdzie, nie...”. Ostatecznie wpadł w zupełną apatię i choć ciągle wyobrażał sobie, że go koniec końców z więzienia wypuszczą, to jednak w gruncie w taki cud nie wierzył. W ostatnich czasach przychodził do niego często Siemion, dozorca więzienny — i coś do niego mówił, o czymś go przekonywał, ale wykladał rzecz tak niejasno, że Fiedor nie mógł się połapać o co idzie. Czasami nawet przynosił kieliszek wódki i Fiedor rozumiał, że go dozorca chce do czegoś skusić.

Pewnego razu rotmistrz Iwanow, zarządzający więzieniem, zapytał Siemiona:

— No, i jakże ten stary? Czy się zgadza czy nie zgadza.

— Trudno go namówić. Uparty jest. Uszy zamyka. Tydzień chodzę koło niego. Ale powiada, że nigdy nic podobnego nie robił. Nie zna się na tem rzemiośle. Nie jest ani rzeźnikiem ani doktorem.

— A to uparte bydle. Czyś mu nie groził, że będzie do śmierci gnł w więzieniu, albo że go wysłają na Sybir na ciężkie roboty.

— Mówiłem. Powiada, że mu to jedność: gnł tu czy tam.

— Słowem apatia zupełna, prostracja ducha absolutna.

— Nie wiem, jak to się tam nazywa po łacinie.

— Ciekawy objaw psychologiczny — mówił rotmistrz jakby do siebie. Słuchaj, Siemion, dostaniesz piętnaście całkowych, jeżeli do jutra do czwartej rano namówisz Fiedora do tej roboty. Bo ty nie wiesz, jak mi zależy na tem, żeby jutro o godzinie pierwszej po południu być w Szczegłowicach. Jak rodzonemu ojcu ci wyznam — stracę skarby. Jelena Pietrowna wie o tej sprawie, a ja tam u niej mam niebezpiecznego rywala. Starszy on co prawda odemnie i nie taki przystojny, ale to kamerjunker, spokrewniony z wielkimi rodzinami, ma poparcie u frejlin dworskich. Jelena chce przez niego zrobić karierę, a ja właśnie przez nią. Jelena Pietrowna — jest to dama pierwszego sortu, prawdziwie *belfamistaja* kobieta. Jutro właśnie kończy się jej wdowieństwo — rok od śmierci męża. Powiedziała, że jutro się zareczy, a że to kobieta z rezonem, powiada tak: obu jednakowo lubię, kto przyjedzie pierwszy, ten będzie przyjęty. Wiem przez telegram z Petersburga, że kamerjunker już wyjechał — ekspresem. Za trzydzieści godzin stanie w Szczegłowicach, będzie tam o czwartej. Ja mam stąd ośm godzin drogi: jeżeli wyjadę o piątej rano, będę tam o pierwszej, to znaczy, że ja będę wcześniej i zostanę przyjęty. Rozumiesz? Jeżeli nie wyjadę o piątej, to mam pociąg dopiero o ósmej — i będą na miejscu razem z kamerjunkrem o czwartej.

— A to trudna sprawa — mówił szczerze strapiiony Siemion — bo z tym Mazłukiem niewiadomo co robić. Niema go kto powiesić jakieżo? Na jutro na czwartą rano wyznaczona egzekucja.

— Ach, Boże! Toż, kiedyś był u Jeleny poraz ostatni, mówię jej: Pani, ciężką mam służbę. Przeszłego tygodnia umarł nam ważny,

użyteczny czynownik — kat, a właśnie mamy jednego więźnia, który powinien zostać powieszony we czwartek rano — buntownik srogi, zaczynszczyk wszystkich rewolucji w naszej gubernji. Nie mamy kata. Któż go powiesi? A póki on nie będzie powieszony, nie wolno mi turmy opuścić.

— I cóż na to Jelena Pietrowna?

— Mówi, jak przystało damie, co ma w sobie dużo ognia. Jeżeli mnie kochasz, Iwan Iwanowicz, to go powiesz sam. To będzie czyn bohaterski i zasługa wobec władzy.

— No, ostro powiedziała. A może tak mówiła na żarty.

— Nie wiem. Wyglądało, jakby nie na żarty. Ale przecie ja nie mogę tego zrobić! No, ty, Siemion, chciałbyś zastąpić kata?

— Nie, wasze wysokorodje. Nie mógłbym. Nie przywykły do takiej roboty.

— A widzisz? A dopiero ja, człowiek oświecony, co mam duszę idealną, rozmiłowaną w przepięknych sztukach — ja mam to zrobić? Myślę, że nawet Jelena byłaby ze mnie bardzo niekontenta, gdybym naprawdę zrobił to — co mi z kaprysu dziś mówi.

— Pewnie, że tak.

— Włęc uważaj. Masz piętnaście rubli, jeżeli namówisz Fiedora. A potem, kiedy już będę mężem tej Jeleny — i dostanę trzydzieści tysięcy dziesięcin ziemi w kurskiej gubernji — i jej kapitały — to masz u mnie jeszcze sto rubli. I postaram się o awans dla ciebie. Mówię, jak do rodzzonego ojca. Zrozumiał?

— Zrozumiał. Sto rubli. Warto się potrudzić.

W tej chwili rotmistrz zauważył na stole dozorca kilka talerzy i szklanek z rozmaitem jadem i napojami. Zapytał więc Siemiona, co to jest?

— Wasze wysokorodje, odrzekł tamten, to są wszystko sposoby, żeby namówić Fiedora... Ja go i straszę — i głodzę — i pokazuję mu wódkę — kotletki — ogórki — i dobre cygara. Z daleka...

— No, błogosławił go rotmistrz, niechże ci Bóg pomaga w tej pracy. Bądź zdrow — mam dziś wieczór u wicegubernatora. A tam co? — zapytał wchodzącego sekretarza.

— Bumagi.

— Pokaż-no, mój ojcie. Aha, tu właśnie piszą do nas z trzeciego wydziału, żeby jutro bezwarunkowo wyrok został wykonany. Bardzo się tem przejęli.

— Bo też, odparł sekretarz, доклад był napisany bardzo mądrze. I tam w Petersburgu są pewni, że jak się jego powiesi, to cała kramoła zginie ze szczętem.

— Doskonale — z zadowoleniem rzekł rotmistrz. Dla nas będą stąd rangi — ordery — awanse. I ja — i sekretarz — i Siemion wszyscy w czynach pójdą wyżej — Dowidzenia, Siemion. A pamiętaj.

Rzekłszy to, rotmistrz ze sekretarzem wyszedł, a Siemion — po chwili namysłu, zabrawszy tacę z jadem i wódką, wszedł do celi Fiedora.

— A tam kto? zamruczał, obrosły brodą wielką, niemyty i nieczesany oddawna, łachmanami okryty starzec, leżący na pryczy.

— Toż ja, Siemion, ktoby tu inny wiaził? Cóż Fiedor, jak twoje zdrowie?

— Ta, czort wezi! Nie jednoż mi, czym zdrow czy chory, żyw czy zdechły.

— Bezbożnie gadasz, Na swobodę chciałbyś?

— Pewnie, chciałbym.

— A dla czego jesteś uparty? Twoje przestępstwa wobec władzy są straszne. Dwaście lat więzienia albo katorga w Sybirze — to mało dla ciebie. A drugie tyle posiedlenia.

— Ale za co? Cóż to ja zrobił?

— Za co? za co? każdy gada wiecznie to samo. Każdy niewinny jak baranek, nic nie zrobił. A skąd tam u ciebie brauningi i maulery? Skąd proklamacje, broszury? A?

— Ja nic nie wiedział. Jestem bezgratny, nie umiem ani czytać ani pisać.

— A broń?

— Djabeł ją tam podłożył — albo kto z policji?

— Coś ty śmiał powiedzieć? Obrażasz naczałstwo. Cóż tam policja miała — by do roboty u takiego durnego chłopca, jak ty. Ale my znamy twojego syna, coś go na swoje nieszczęście do szkół posyłał. On to jest zaczynszczyk wszystkich smut w naszej guberni. On zabił Kantarowa i Samojedowa, ślicznych ludzi, wiernych rządowi, jak zawsze była ta nasza

gubernia. Nie darmo tu siedzi blisko nasza Bogarodyca kałuńska. Dwa razy do roku mamy na jej cześć procesję, bo ona zawsze nas broń od wojny, od zarazy i od buntu... Śława wieczna Świętej ikonie.

— Co wy tam mojego syna obwiniecie? Chłopiec najpocziwszy — muchy by nie skrzywdził. W Moskwie uczył się na doktora — skąd mu tam z rządem wojować?

— Ale taka teraz śród studentów zaraza. Nie bardzo on czysty ten twój syn, a już ta jego narzeczona, popadjanka z cerkwi świętego Georgja — może także niewinna? Kto to zakazane książki szerzył między wiejskim ludem?

— Jakżeby takie rzeczy mogła popełniać córka sługi bożego?

— Ot, stary jesteś a głupi — oburknął Siemion starego więźnia — jej ojciec, że jest wierny rządowi, wyklął córkę, na wieki się jej wyrzekł jak parszywej owcy. To jest prawdziwy ojciec — kapłan święty — pasterz zbłąkanych owiec — to jest człowiek.

— Ja to nic nie wiem.

— Każdy gada; nie wiem, a jednak wie nie mało. Niechoby mu się tylko język rozwiązał: ciekawe rzeczy by powiedział.

— Ja nic nie wiem. Ani syna ani Marty dawno nie widziałem. Bo jak się zaczęła ta smuta, oni gdzieś mi przepadli: byli w Moskwie. Czasem tylko zajeżdżali na krótko. Ja tam swoje robił — nie pytał o nic, bo cóż? Aleksy — chłop duży — uczony — gdzież mi się pytać, co on robi. Uczeń to nie lubią, kiedy prostak jest ciekawy.

— No, wzdor! Chcesz iść na wolę, to pójdziesz — tu już Siemion przeszedł do swej myśli istotnej, ale Fiedor rozumiał w końcu o co mu chodziło.

— Ja wiem, co ty chcesz powiedzieć. Nigdy. Ja nawet wieprza sam nigdy nie zabiłem. Co innego zdaleka strzelać do kaczki albo do zająca. Ale nie to — nie to... Nie, nie.

— A jesteś głodny? Podjadłbyś sobie?

— Pewnie, że bym podjadł — i bardzo.

— No, więc co wolisz? Czy chleb z wodą czy ten kotlet z dobrej cielęciny moskiewskiej? patrz jakie białe mięso. A tu jeszcze kartoszka i ogóreczek. A może wódeczki — Smirnowka najlepsza — patrz, jak pachnie — co? A może cygarko? — Patrz jaki dymek — dodał, zapalając cygaro i puszczając błękitny dym w powietrze. Widzę, że ci się oczy zaczynają błyszczeć. Zgoda, czy nie?

Ale Fiedor uparcie wołał: — Nie, nie, nie!

— Dureń jesteś — krzyczał zniecierpliwiony Siemion. A nie cni ci się tutaj?

— Cni mi się bardzo. Ciemno tu — wilgotno — niema gęby do kogo otworzyć.

— Dawno nie widziałeś szerokiego światła. Czeka, to ci pokaże.

Trzeba zaznaczyć, że w nędznej i mrocznej celi Fiedora było niewielkie okno zakratowane, ale przez złośliwość szczególną zamknięte okiennicą. Światło do celi wpadało jedynie przez małe okrągłe okienko u góry pod powałą. Siemion kluczem otworzył okiennicę — i po przez kraty ukazał się, jakby w ramie zamknięty, krajobraz. Fiedor był tym widokiem oczarowany: wielki obszar zobaczył. A Siemion kusił go, jak kat wenecki więźnia, przechodzącego przez Ponte dei Sospiri.

— A co ładne? mówił. Patrzaj, jakie tam świeci złote słońce na niebie — a jakie niebo czyste — a jaka trawa zielona, bo to mamy czerwiec. Brzozy białutkie kwitną, kołyszą się — a tam na łące konie i krowy. — Żyto już się srebrzy — a jaki owies — ho, ho! A tu co za szeroka woda — to nasza miła Oka! Patrz, kawkę furknęły stadem i-kraczą... Podobają ci się? zapytał — i zamknął okiennicę.

— Oj, bardzo podobają — mówił w upojeniu Fiedor.

— Chciałbyś tam...

— O, radbym, radi Wypuść mnie, bracie. Dam ci dziesięć rubli i cielaka.

— A jakże! Żeby mnie powiesili, jak ciebie. Ja tu do ciebie po dobroci, bo mi się spodobałeś.. Pocziwy jesteś Patrz, tu kotlet, a tu wódka, a tu cygaro... Chcesz — twoje, nie chcesz — nie twoje. I cały ten piękny świat: chcesz — twój, nie chcesz — nie twój.

— Kiedy ty za wiele wymagasz.

— Dużo ci daję — mało żądać nie mogę.

— Ta ja tego nigdy nie robił.

(D. c. n.)